

## Kocięta

Łożyskiem rzeki wartko płynęła chłodna zielona woda, bulgocząc wokół brązowych otoczaków i odbijając wierzby płaczące rosnące wzdłuż brzegu. Marnie siedziała na trawie, rzucała do wody kamienie i obserwowała, jak zmarszczki rozbiegają się po powierzchni coraz większymi kołami i chlupią o mulisty brzeg. Myślała o kociętach, ale nie o tych z zeszłego roku, tylko o tych tegorocznych. Rok temu rodzice powiedzieli jej, że kotki poszły do nieba. Cały miot Pinkie zniknął trzy dni po tym, jak wśród pisków przyszedł na świat.

- Bóg je wziął do nieba, żeby z nim zamieszkały - powiedział tata.

Marnie nie wątpiła w słowa taty. W końcu to bardzo religijny człowiek. Co tydzień uczył w szkółce niedzielnej i był jakimś urzędnikiem w kościele - liczył pieniądze ze zbiórek i wpisywał je do małej czerwonej książeczki. A w świecką niedzielę zawsze go wybierano do wygłoszenia kazania. Co wieczór czytał im fragmenty Biblii. Wczoraj wieczorem Marnie spóźniła się na czytanie i dostała w pupę.

- Dzieci trzeba trzymać krótko - mawiał ojciec.

Nie, nie wątpiła, że tata mówił prawdę, bo nikt nie mógł lepiej niż on wiedzieć, jak to jest z Bogiem i kociakami.

Tylko że nie mogła tego zrozumieć - dlaczego, skoro na świecie były setki i tysiące kociaków, Bóg musiał zabrać akurat te jej, i to wszystkie cztery? Czy Bóg był samolubny?

Tak myślała kiedyś, ale przez ostatnie dwanaście miesięcy wydarzyło się dużo rzeczy i zupełnie zapomniała o kociętach. We wrześniu poszła po raz pierwszy do szkoły, tyle było zamieszania z przygotowaniem - trzeba było kupić zeszyty, ołówki, książki. Pierwszych kilka tygodni upłynęło bardzo ciekawie, poznawała Pana Alfabetę i Panię Cyferki, a kiedy w szkole zaczęło się robić nudno, to właśnie przyjechały święta - na wypolerowanych łyżwach, po roziskrzonym lodzie. Były zakupy, zielono-żółto-czerwono-niebieskie lampki i Święty Mikołaj na rogu ulicy, który zataczał się, gdy chodził, i kościół cały w świecach na Wigilię (wtedy, kiedy zachciało jej się do łazienki i tata kazał jej czekać, aż się skończy msza). Gdy wreszcie w marcu wydarzenia znowu toczyły się wolniej, mama urodziła bliźniaki. Marnie nie mogła się nadziwić, jakie były małe i jak wolno rosły przez następne tygodnie.

No i ponownie nastał czerwiec. Bliźniaki miały już trzy miesiące i nareszcie zaczęły porządnie przybierać na wadze, szkoła się skończyła, do świąt były jeszcze całe wieki i znów

zaczęła się nuda. Tak więc, kiedy usłyszała, jak tata mówił mamie, że Pinkie będzie miała małe, uchwyciła się kurczowo tej wiadomości i wycisnęła z niej tyle radosnego podniecenia, ile się dało. Zaczęła przygotowywać w kuchni szmaty i ściereczki na dzień urodzin i fantazyjne pudełko na dom dla kociąt, kiedy przyjdą na świat.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, Pinkie wymknęła się cichcem w środku nocy i okociła się w ciemnym kącie stodoły. Niepotrzebne okazały się czyste szmatki i ręczniki, ale pudełko było w sam raz. Urodziło się sześć kociaków, wszystkie szare z czarnymi łatkami, jakby ktoś je w pośpiechu pochlapał atramentem.

Marnie była zachwycona kociakami i jednocześnie bardzo się martwiła. Co się stanie, jeśli Bóg je sobie upatry, tak jak rok temu?

- Marnie, co robisz?

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto za nią stoi. Mimo to odwróciła się grzecznie.

Ojciec patrzył na nią z góry surowo. Pod pachami jego błękitnego spłowiałego kombinezonu widniały ciemne plamy potu, a na brodzie i na lewym policzku rozsmarowany brud.

- Rzucam kamienie - odpowiedziała cicho.

- W ryby?
- Och nie, proszę taty. Tak sobie rzucam.
- A czy pamiętamy, kto padł ofiarą kamieni? - Uśmiechnął się protekcjonalnie.
- Święty Stefan - odparła Marnie.
- Bardzo dobrze. - Uśmiech znikł. - Kolacja gotowa.

\*

Siedziała sztywno, jakby kij połknęła i słuchała, jak ojciec czyta na głos fragmenty starej rodzinnej Biblii, oprawionej w skórę, podrapanej, z powyrywanych kartami. Mama zajęła miejsce koło taty na kanapie obitej granatowym sztruksem, ręce złożyła na podolku i uśmiechała się z zachwytem nad „cudami zesłanymi nam przez Boga”. Twarz miała bezbarwną, ale ładną.

- „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże”.

\* Ewangelia św. Marka (10:13-14), Biblia Tysiąclecia

Ojciec zamknął księgę z delikatnym trzaśnięciem, które wzbilo się w zatęchłym powietrzu i zawisło nieruchomo, spuszczać grubą kurtynę milczenia. Nikt się nie odzywał przez kilka minut, w końcu przemówił ojciec.

- Marnie, który rozdział której księgi dzisiaj przeczytaliśmy?
- Świętego Marka, rozdział dziesiąty - odparła posłusznie Marnie.

- Dobrze - pochwalił i odwrócił się do żony, której uśmiech już się zmienił i teraz wyrażał zadowolenie, że „zrobiliśmy to, co powinna była zrobić chrześcijańska rodzina”. - Mary, może byśmy się napili kawy, a Marnie mleka?

- Słusznie - zgodziła się matka, wstała i poszła do kuchni.

Ojciec siedział i oglądał wewnętrzne strony okładek świętej księgi, wodził palcami po zagnieceniach pożółkłego papieru, badał widmowe plamy wchłonięte na wieki przez stronę tytułową, gdzie któryś z pradziadków miliony lat temu wylał niechcący wino.

- Proszę taty - zaczęła niepewnie Marnie.

Ojciec podniósł wzrok znad książki, ani się nie uśmiechając, ani nie marszcząc.

- Co z kotkami?

- A co ma być? - odpowiedział pytaniem ojciec.

- Czy w tym roku Pan Bóg też je zabierze?

Półuśmiech, który wkraadał się pomalą na twarz ojca, wyparował w mgnieniu oka w gęste powietrze salonu.

- Możliwe.

- Nie może tego zrobić - chlipnęła Marnie.

- Młoda damo, czyżbyś miała zamiar mówić Bogu, co może, a czego nie może robić?

- Nie, proszę ojca.

- Bóg wszystko może.

- Tak, proszę ojca. - Marnie poruszyła się niespokojnie na fotelu, próbując się wcisnąć głębiej w szorstkie wytarte oparcie. - Tylko po co mu znowu moje kotki? Dlaczego chce akurat moje?

- Mam tego dosyć, Marnie. Cicho bądź.

- Ale dlaczego akurat moje?

Ojciec poderwał się z miejsca, podszedł do fotela i uderzył ją w delikatną twarzyczkę. Z kącika ust Marnie pociękł strumyczek krwi. Wytarła go dłonią.

- Nie wolno ci wątpić w boskie intencje! - powiedział z naciskiem. - Jesteś na to dużo za młoda. -

Na ustach błyszczała mu ślina. Złapał Marnie za rękę i poderwał z krzesła. - A teraz marsz na górę i do łóżka.

Marnie nie zaprotestowała. Idąc w stronę schodów, otarła kolejną strużkę krwi. Wchodząc powoli na schody, wodziła ręką po gładkiej drewnianej poręczy.

- Przyniosłam mleko - usłyszała na dole głos matki.

- Nie będzie potrzebne - odparł szorstko ojciec.

Leżała w łóżku. W pokoju panował półmrok, rozświetlony pełnią księżyca. Żółtopomarańczowa poświata połyskiwała w szybkach i ramkach świętych obrazków, którymi obwieszona była jedna ściana. W pokoju rodziców matka, przewijając bliźniaki, przemawiała do nich czule.

- Moje wy boskie aniołeczki - mówiła matka.

Ojciec je łaskotał i Marnie słyszała, jak „aniołeczki” śmieją się w głos, wydobywając z gardełek głęboki gulgot.

Ani ojciec, ani matka nie przyszli jej powiedzieć „dobranoc”. Została ukarana.

\*

Siedziała w stodole i pieściła szare kocię. Zaniedbała chwilowo polecenie, z którym wysłała ją matka dziesięć minut temu. W powietrzu unosił się ciężki zapach złocistego siana. Pod nogami chrzęściła słoma wyściełająca podłogę grubą warstwą. Na drugim końcu budynku porykiwały dwie krowy, które pokaleczyły sobie nogi o drut kolczasty i w związku z tym zostały w oborze, żeby wyzdrowieć. Kociak miauczał i wymachiwał łapą pod brodą Marnie.

- Gdzie jest Marnie? - zagrzmiął głos ojca na podwórzu przed stodołą.

Marnie już miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała głos matki wołającej od strony domu:

- Wysłałam ją do Brownów po receptę od Heleny. Nie będzie jej jeszcze co najmniej dwadzieścia minut.

- To dużo czasu - powiedział ojciec.

Na żuźlowej ścieżce w wojskowym rytmie zachrzęściły jego kroki.

Marnie czuła, że coś jest nie tak; działo się coś, czego nie powinna widzieć. Błyskawicznie odłożyła kociaka z powrotem do czerwono-złotego pudełka i położyła się płasko na ziemi tuż za stertą słomy.

Wszedł ojciec, zdjął wiadro z kranu na ścianie i postawił je przed kociakami. Pinkie prychnęła i wygięła grzbiet. Wtedy ojciec złapał ją za kark i wsadził do pustego kubła po owsie, skąd zaczęły dochodzić żalosalne piski, spotęgowane karykaturalnie przez metalowy pojemnik, tak że bardziej pasowały do afrykańskiego stepu niż amerykańskiej farmy. Marnie o mało nie parsknęła śmiechem, ale przypomniała sobie ojca i stłumiła wesołość.

Ojciec znowu odwrócił się w stronę pudła z kociakami. Ostrożnie wyjął jednego za kark, poklepał dwa razy i wepchnął do wiadra głową pod wodę! W wiadrze wybuchła gwałtowna szamotanina, w górę wytrysnęły migotliwe kropelki wody. Ojciec się skrzywił i szybko wepchnął pod wodę całego kociaka. Po jakimś czasie szamotanina ustała. Marnie poczuła, że bolą ją palce, tak mocno próbowała je wbić w betonową podłogę.

Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Ojciec wyjął z wiadra zwiotczące ciało kotka. Z pyszczka wystawało mu coś różowego i przekrwionego - Marnie nie wiedziała, czy to był język, czy też kochane maleństwo w ostatniej, rozpaczliwej próbie wyslizgnięcia się ze śmiertelności uścisku wypłuło do wody własne trzewia.

Nie minęło wiele czasu, kiedy na podłodze stodoły leżało sześć martwych kociąt. Wszystkie sześć futerkowych kuleczek wrzucono do płóciennego worka i zawiązano. Ojciec wypuścił Pinkie z kubła. Drżąc i pomiauując, kotka wyszła za nim ze stodoły, a kiedy się do niej odwrócił, prychnęła.

Przez długi czas Marnie leżała bez ruchu, myśląc tylko o tej przerażającej egzekucji, i za wszelką cenę usiłując to zrozumieć. Czyżby ojciec został wysłany przez Boga? Czy to Bóg kazał ojcu zabić kocięta? Żeby jej odebrać? Jeśli tak, nie wyobrażała sobie, żeby mogła jeszcze kiedyś stanąć przed biało-złotym ołtarzem i przyjąć komunię. Wstała i poszła w stronę domu. Z palców kapą jej krew. Krew zmieszana z betonem.

- Masz receptę? - zapytała matka, kiedy Marnie zatrzęsnęła za sobą drzwi kuchenne.

- Pani Brown nie mogła jej znaleźć. Przyśle ją jutro. - Marnie sama się sobie dziwiła, jak łatwo jej przyszło to kłamstwo. - Czy Pan Bóg zabrał moje kotki? - wybuchła nagle.

Matka spojrzała na nią zmieszana.

- Tak. - Nie mogła wykrztusić nic więcej.

- Policzę się z Panem Bogiem! Nie może tego robić! Nie może!

I wybiegła z kuchni na schody.

Matka patrzyła za nią, ale nie próbowała jej zatrzymywać. Marnie Caufield szła powoli po schodach, wodząc ręką po gładkiej drewnianej poręczy.

\*

W południe, kiedy Walter Caufield wrócił z pola do domu, usłyszał głośny huk, brzęk porcelany i tłuczonego szkła. Wbiegł do salonu i ujrzał żonę leżącą pod schodami, a obok niej stolik z potłuczonymi pamiątkami i figurkami.

- Mary, Mary, nic ci nie jest? - Schylił się nad nią.

Żona spojrzała na niego zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem.

- Walt! Wielki Boże, Walt, wanna... nasze aniołki... nasze najdroższe aniołki!